

Wdycham poranne powietrze. Rześkie strumienie ochładzają nozdrza, przepływają do płuc i rozbudzają. Przypomina coś ulotnego, co pamiętam jakby z wczoraj, choć wiem, że było w czasach, kiedy świat wydawał się bardziej kolorowy, a sprawy czarno-białe.

Jest w nim coś szkolnego: coś z przerzucania jesiennych liści, coś z wypraw nad cuchnącą ściekami rzekę, przepływającą smoliście przez centrum miasta. Coś ze spacerów wokół parkowej palmiarni. Coś z przesiadywania w sali do biologii mieszczącej się w piwnicy ostatniego pawilonu, obracania głową we wszystkie strony i spoglądania: to za okno, gdzie w szarawym świetle październikowego słońca na boisku grupa chłopaków ze starszej klasy, dając upust swym samczym zapędom, wyrzucała sobie wzajemnie puszczone szmaty, a sroga nauczycielka, ta bardziej męska wersja lesbijki, trzepała otwartą dłońią w potylicę każdego, kto ważył się w jej obecności użyć wulgarnego słowa; to na model szkieletu ustawiony z tyłu sali, tuż przy sercach świń zatopionych w formalinie jak wyrośnięte owady w zastygłej żywicy.

Jest w tym powietrzu coś z wymaszerowywania z domu o siódmej trzydzieści, pokonywania zatęchłej klatki schodowej, omijania świeżych plam moczu i kup pozostawionych przez zniedołężniałego psa sąsiadki. Coś z wypadania w szary świt i wymijania starszych zaspanych twarzy spieszących do pracy i młodszych półprzytomnych twarzy goniących do szkół: każda wpatrzone w nieokreślony punkt w oddali, omijająca wzrokiem to, co obok. Jakby chciały najprędzej przejść przez to miasto, pozbyć się złudzeń, że cokolwiek ma sens i że warto się rozglądać.

Jest w tym powietrzu coś, co nazywam godziną wielkiego milczenia: słyszałem jedynie te rozkrakane przecinki na wyblakłej karcie nieba, obsiadające rozkraczone drzewa wyciągające do chmur gałęzie w geście błagania o lepszą pogodę na rozwinięcie pąków i liści. Nie wiedziały drzewa i nie wiedziały ptaki, że to już schyłek – zaraz były znicze i słodycze z odpustu, zaraz były defilady i salwy honorowe. Wspominaliśmy zmarłą, wtedy przed pięcioma laty, ciotkę Ryśkę, siostrę ojca, do której odwiedzin w hospicjum przed jej śmiercią zmuszał nas ojciec, gdzie smród papierosów, z których każdy mógł być tym ostatnim, mieszał się ze smrodem zmienianych pieluch; od której w rodzinie wszyscy się odwrócili, gdy wyszła pewnego dnia z domu i zniknęła, zostawiając roczne dziecko pod opieką babki. Ale o zmarłych źle się nie mówi, pokój jej duszy. O zmarłych mówi się dobrze, psia jego mać.

Jest w tym powietrzu coś śląskiego: coś z podróżowania po miastach aglomeracji, między jednym a drugim familokiem, wzdłuż wielkiej płyty, od kamienicy do kamienicy. Thuczenia się rozklekotanymi jęczmiami, unikania stania w przegubach, które gąsienicowato to nas miażdżyły, to rozciągały. Polowania na puste miejsca i wkładania twarzy w czapki, by nie zwymiotować od mdłego zapachu żółtych wunderbaumów i ostrej woni potu śląskich macho z węglem za paznokciami, o nalanych, błyszczących jak woskowane jabłka policzkach.

Jest w końcu coś takiego w tym powietrzu, co każe mi codziennie po przebudzeniu zastanawiać się, czy wyjdę w to czwarte co do wielkości miasto w województwie śląskim. Zobaczę gmach dyrekcji nieczynnej huty, w którym na balkonie w 2000 roku strajkował sąsiad spod piątki. Przejdę się do Ewuni, w której donuty sprzedawano już w latach 90. jako pączki angielskie: ciepłe, parzące w palce, rozpływające się w ustach; ubrudzę sobie twarz pudrem z tych pączków. A jeśli to będzie lato, wezmę ogromny deser ze świeżymi owocami, którego nie dojem, a lody śmietankowe będą spływały mi po brodzie. I nie będę miał żadnych skojarzeń.

I będzie to sobota, na pewno będzie to sobota. Nie pójdę do szkoły, tylko przejdę się ulicą Zwycięstwa, skręcę w Fredry, gdzie w wieku lat czterech i pół wyprowadziliśmy się z mieszkania po dziadkach od strony ojca. Gdzie mieszkalem z rodzicami w jednym pokoju przedzielonym meblościanką, zza której w dziecięcych koszarach wysuwała się głowa dzikiego olbrzyma ze zmierzwionymi czarnymi włosami, wpatrująca się we mnie i w rodziców, a na moje pytania, kim jest ta postać, mama tylko uciszała mnie i patrzyliśmy dalej; ta głowa odwiedziła mnie we śnie jeszcze kilkakrotnie. W pokoju, w którym, przebudziwszy się w środku nocy z gorączki i bólu, byłem stawiany przed ojca do kąta, aż się nie uspokoję. W pokoju, w którym matka musiała tańczyć przed nim nago, godziła się odprawiać ten plemienny rytuał, by nie wyrzucił jej z domu.

Pójdę Fredry, a potem przez Park Chopina, wdychając wciąż to samo rześkie powietrze, by nie utracić wizji. Sprawdzę, czy pod palmiarnią, jak co roku, wystrzeliły już krokusy, tuż przy bezpańskim lwie, o którym wierzyłem, że zeskakuje z cokółu i przechadza się alejkami, kiedy zamykają park o zmierzchu. Przejdę się ulicą, gdzie w domu w londyńskim stylu mieszkała dziewczyna, z którą bawiliśmy się w eliksiry i zielarstwo w przepastnym, dzikim ogrodzie. Wtedy naprawdę wierzyliśmy w czary. Prawdę mówiąc, nadal w nie wierzę.

Wreszcie dotrę do biblioteki przy Kościuszki. Tam właśnie uciekałem, w świat książek, w świat spraw bibliotecznych. Tam oprawialiśmy, katalogowaliśmy, inwentaryzowaliśmy, sklejaliśmy zmechacone książki razem z paniami bibliotekarkami, które koło południa wysyłały mnie do pobliskiego Baru Teatralnego po obiad, dzięki czemu przy okazji i mnie dostała się porcja pierogów ruskich, podobno najlepszych w całym mieście. Wejdę między półki i sprawdzę, czy pod literą S jest wystarczająco dużo miejsca, by zmieścić tam moje przyszłe dzieła. Wejdę tam i postanowię, że ukończę licencjat z bibliotekoznawstwa.

To powietrze od lat nie uleciało.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

ks-hp, dodano 04.04.2020 17:36

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.